

Zwierciadło gasnącego świata. Pamiętnik z ćwierćwiecza w służbie ojczyzny – Jan Bobrzyński

Wspomnienia działacza gospodarczego, publicysty i polityka konserwatywnego, syna Michała Bobrzyńskiego. Przedstawiają one mechanizmy i kulisy życia gospodarczego i politycznego II RP. To opowieść o ambitnych zamierzeniach, wielkich planach, ale również o intrygach i personalnych rozgrywkach. Wyłania się z niej gorzki obraz polityki II RP, w którym Jan Bobrzyński nie oszczędził także bliskich mu środowisk konserwatywnych. To pierwsze wydanie tego powstałego w czasie II wojny światowej bezkompromisowego dzieła.

*Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki.*

[Zygmunt] Krasiński

W ponurym, ale równocześnie i pełnym wielkich nadziei nastroju pięciu lat okupacji niemieckiej, w czasie długich, ciemnych wieczorów zimowych w pozbawionej światła Warszawie, gdy słaby promyk rzadkich świec ledwie nieco rozpraszał mroki dużych pokoi, miałem aż nazbyt wiele przymusowych chwil wolnych do rozmyślania zarówno nad tym, co nas czeka, jak i nad całym moim życiem minionym, a

przede wszystkim nad ostatnim ćwierćwieczem – okresem mojej pracy publicznej, która rozpoczęła się z chwilą wskrzeszenia niepodległej Ojczyzny.

Rezultatem tych rozmyślań są niniejsze wspomnienia. Pobudkę do ich spisania i ogłoszenia dała mi refleksja nad szczególnym zbiegiem okoliczności w ciągu tej dwudziestopięcioletniej pracy: oto tak mi się jakoś dziwnie w tym okresie składało, że rzadko kiedy zajmowałem regularną, gotową posadę w jakiejś już istniejącej instytucji rządowej czy prywatnej, gdzie chodziłoby tylko o normalne załatwienie spraw bieżących, przeważnie natomiast spadała na mnie rola organizowania czegoś nowego od samych podstaw. Los sprawił, że raz po raz stawało przede mną zadanie stworzenia jakiejś instytucji politycznej, społecznej lub gospodarczej – z niczego, albo prawie z niczego, i wytaczania potem walki o jej byt ludziom i warunkom. Rzecz jasna, że taka rola, taka kampania o śmierć i życie instytucji, której się jest głównym twórcą i odpowiedzialnym kierownikiem, to całkiem coś innego niż spokojne pełnienie bieżących czynności – tak zwane załatwianie kawałków – na jakimkolwiek ustalonym, stosunkowo wygodnym stanowisku. Praca inicjatora daje przy każdym powodzeniu nieporównanie więcej radości tworzenia, ale też i bez porównania większym grozi ryzykiem nadwyrężając nieraz w wysokim stopniu siły, zdrowie i nerwy. A w razie klęski – w tym wypadku klęski nie tylko materialnego zamierzenia, ale i idei, która je powołała do życia – nadzwyczajnego trzeba wysiłku, aby nie ulec depresji i do nowego zerwać się lotu.

Nade wszystko jednak rola inicjatora i organizatora daje najlepszą sposobność poznania ludzi – właściwego, najgłębszego charakteru społeczeństwa, w którym się działa. Na żadnej regularnej posadzie, w

ustalonej z dawna instytucji nie jest to w takim stopniu możliwym, po prostu dlatego, że społeczeństwo inaczej odnosi się do takiej instytucji – urzędu, banku, fabryki, stowarzyszenia itp. – niż do czegoś, co jest dopiero w projekcie, co jeszcze nie istnieje. Kierownik instytucji już funkcjonującej, mimo wszelkich możliwych trudności swego stanowiska, ma sto dróg otwartych, które inicjatorowi niezrealizowanego jeszcze projektu są zamknięte. Ma klientelę, garnącą się do niego w jej własnym interesie, cieszy się traktowaniem poważnym jako kierownik instytucji „realnej”. Inicjator natomiast musi walczyć z całym światem, nieraz z tymi nawet, którzy w zasadzie daną inicjatywę popierają. A w społeczeństwie gospodarczo mniej wyrobionym, nie dość ufny w własne siły twórcze, a tym samym wierzącym tylko w to, co już istnieje, co jest widoczne i namacalne, musi biedny organizator zwalczać przede wszystkim atmosferę nieufności i lekceważenia. Ileż razy wysłuchiwać musi, że jego ukochany, najstaranniej opracowany program czy projekt, to „bardzo wielka myśl, ale to jeszcze nic realnego, to dopiero muzyka przyszłości”. Dobrze jeszcze, jeżeli nie zostanie okrzyknięty marzycielem, fantastą, Don Kiszotem!

Obowiązkiem prawdziwie patriotycznego pióra jest pobudzić opinię publiczną do narodowego rachunku sumienia

Przebyłem i ja przez dwadzieścia pięć lat tę pełną rozkoszy twórczych golgotę i jedną z niej w każdym razie wyniosłem korzyść: poznałem na wskroś

warstwę polskiej inteligencji różnych stanów i zawodów. Poznałem ją lepiej, niż mógłbym to osiągnąć na jakiegokolwiek zwykłej posadzie, która daje zawsze tylko pewien jednostronny punkt widzenia. A

ponieważ naród nasz stanął obecnie w szczególnie krytycznej sytuacji, na rozstajnych drogach dziejowych, a inteligencja polska zmasakrowaną została wojną i okupacją, więc tym bardziej uważam za aktualne i konieczne ogłoszenie tych wspomnień, w których różne miarodajne sfery tej inteligencji mogłyby się przejrzeć jak w zwierciadle. Sądzę, że im się to bardzo przyda, a tym samym i Ojczyźnie, którą, mimo wszelkich zmian ustroju i zabiegów warstw innych, przecież tylko jakaś wykształcona warstwa inteligentna naprawdę rządzić może. Rwą się w Polsce do rządów i władzy różne warstwy, które na serio rządzić państwem nie będą w stanie. Upadek zaś inteligentnej warstwy jest u nas tak wielki, że potężnego trzeba wstrząsu, który by mógł ją wyrwać z marazmu i twórczą wzbudzić w niej energię. Do wywołania tego zbawczego wstrząsu powinna się oczywiście i publicystyka przyczynić. Obowiązkiem prawdziwie patriotycznego pióra jest pobudzić opinię publiczną do narodowego rachunku sumienia. Od niego bowiem rozpocząć się jedynie może i musi skuteczny prąd odrodzenia. Bez ducha zdrowej, trzeźwej autokrytyki, bez aktu rachunku sumienia nie masz możliwości moralnego i materialnego renesansu, bo stare grzechy i błędy wszelką inicjatywę naprawy unicestwią. Odnosi się to zarówno do jednostki, jak i do całego narodu i każdej jego społecznej sfery. Ani łzy nad niedolą, ani smętne wypiększanie przeszłości w jakąś cudną wspaniałość legendarną nic tu nie pomogło. Biczem sprawiedliwej, rzeczowej, ale i ostrej krytyki uderzyć należy. A najlepszą krytykę podać może wspomnienie realnych faktów przeszłości. W tym nieraz właśnie celu pisze się pamiętniki. Ale w takich sytuacjach, jak obecna, zwykły, z dyplomatycznym taktem pisany pamiętnik nie pomoże. Nawet najlepiej napisany, najgenialniejszym piórem, byłby tylko ćwierkaniem świerszcza w trawie. Czytano by go obojętnie, może i pochwalono, ale nic więcej. Dlatego przyszło mi na myśl zastosowanie silniejszego lekarstwa – napisanie wspomnień prawdziwych tak, jak mi one w pamięci utkwily, gdzie wypadki i ludzie przedstawieni byłiby nie w

sztucznym świetle, w jakim zazwyczaj występują w prasie i literaturze, ale tak, jakimi byli w rzeczywistości. Chodzi zwłaszcza o ludzi. W ciągu mojej działalności miałem do czynienia prawie wyłącznie tylko z wybitniejszymi przedstawicielami różnych sfer i zawodów. Tacy ludzie w innej postaci występują w gazetach lub na uroczystej arenie publicznej, niż są w rzeczywistości – w zwykłym, szarym życiu. A przecież to właśnie zwykłe życie, w którym istotny charakter człowieka się ujawnia, decyduje o wynikach jego działalności publicznej. W jej zaś sztucznym oświetleniu wybitny polityk, finansista czy przemysłowiec całkiem inaczej nieraz ludziom się przedstawia i za innego jest uważany, niż jest w rzeczywistości codziennego życia.

Przed moimi oczyma przesunęła się przez minioną ćwierć wieku cała galeria wybitnych jednostek różnego autoramentu, pozostawiając mi w pamięci barwny a prawdziwy obraz średniej, wyższej i najwyższej inteligencji naszego społeczeństwa. Oddać ten obraz z możliwie fotograficzną wiernością jest zadaniem tych wspomnień. Jestem przekonany, że z takiego obrazu czytelnik więcej i rzetelniej się dowie o prawdziwym charakterze i usposobieniu naszych ziomków i o istotnym podłożu różnych naszych stosunków, niż z najpiękniej i najtaktowniej ułożonego pamiętnika z areny wielkich wydarzeń politycznych czy społecznych. Tych wydarzeń w ogóle nie dotykam. Są aż do przesytu znane. Mówić będę tylko o tym, co sam przeżyłem, z czym bezpośrednio się zetknąłem. W pierwszym rzędzie o tym, w czym jakieś specjalne zadanie miałem do spełnienia. A sądzę, że to właśnie, co przeżyłem, czego raz po raz boleśnie doświadczyłem, nie powinno zagać – jako memento dla moich rodaków. Namyslałem się, czy by nie dać tej książce tytułu: Syzyfowe Prace. Ale sądzę, że ten, na który ostatecznie się zdecydowałem, lepiej odpowiada celowi tych wspomnień, bo syzyfowe prace tylko do moich osobistych wysiłków

mogłyby się odnosić, a mnie zależy przede wszystkim na tym, aby inteligencja polska mogła się sobie przyjrzeć i zastanowić nad tym, jaką dotąd była.

*Bo nie tylko o to chodzi,
aby odrodziła się Polska,
ale i o to, jaką ma być ta
Polska!*

Co prawda, chodzi tu
rzeczywiście o
„szyfowe prace”. Bo
istotną treścią
wspomnień jest fakt,
że raz po raz
podejmując jakąś

inicjatywę, w moim mniemaniu pożyteczną dla odradzającego się państwa, dawałem wszystko ze siebie, aby rzecz do pomyślnego doprowadzić rezultatu. I za każdym razem to samo powtarzało się zjawisko: z entuzjazmem szli za mną rodacy, podnosząc nieraz tak pochlebnie mój dany pomysł i pracę, że komuś, mniej krytycznie usposobionemu, mogło to być chwilowo w głowie przewrócić. Wszędzie też miałem znaczne początkowe powodzenie. Już byłem pewien ostatecznego sukcesu, już zdawało mi się – jak Syzyfowi – że skałę moich trudów i mokołów wtaczam szczęśliwie na szczyt góry, poświęciwszy temu szereg lat życia, kiedy nagle, bez żadnej uchwytnej przyczyny zewnętrznej, bez żadnego materialnego powodu, entuzjazm dla sprawy zaczął słabnąć wśród moich współtowarzyszy pracy, w momencie już osiągniętego sukcesu ogarniać ich zaczynało jakieś niezrozumiałe zniechęcenie i piękne dzieło, niemal już zrealizowane – a niekiedy nawet faktycznie już zrealizowane – rozpływało się w nicość. Nie rozbijało się bynajmniej wśród walki i sporów, co byłoby bardziej ludzkie, łatwiej zrozumiałe, ale po prostu „rozłaziło się” bez żadnej logicznej przyczyny. A ja pozostawałem raz po raz wśród ruin przedsięwzięcia, jak Scypio na gruzach Kartaginy, srodze zawiedziony, że mnie coś podobnego w gronie tak poważnych ludzi mogło spotkać i

to po tylu objawach entuzjazmu i zachęty, jakich z ich strony doznałem. I, co najgorsza, za każdym razem szereg lat mojego życia szedł na marne. A przecież raz tylko się żyje!

I to przygnębiające doświadczenie, które wielokrotnie przeżyłem w pracy politycznej, gospodarczej i społecznej, dało mi w końcu poważnie do myślenia nad istotną przyczyną tego groźnego a zupełnie niezrozumiałego zjawiska: rozpraszenia się w nicość dzieła wśród już osiąganego powodzenia. I druga myśl zrodzić się musiała z tej pierwszej, jeszcze groźniejsza, jeszcze bardziej trapiąca: czy może utrzymać się i pomyślnie rozwijać eksponowane na wszystkie strony państwo, którego inteligencja - i to kwiat tej inteligencji - ma tak chaotyczne nastawienie.

Na to straszne zagadnienie nie ośmielam się, wprost nie chcę dać jakiegokolwiek odpowiedzi. Niechże czytelnik sam ją sobie sformułuje po przeczytaniu i rozważeniu tych wspomnień. Jeśli to uczyni, to uważam, że cel pozytywny tej książki będzie spełniony.

Ale wydając na świat te wspomnienia, w których żyjący jeszcze w znacznej części występują ludzie, gdzie ostrze krytyki samych faktów przytaczanych nie oszczędza nikogo, zdaję sobie sprawę, na co się porywam i na co narażam. Zdaje mi się, że pamiętnika o tym charakterze nikt chyba dotąd w Polsce za życia swego nie wydawał. Pozostawiał autor swój rękopis, jeżeli w nim ludzi i stosunki swych czasów dosadnie odmalował, zwykle gdzieś w przechowaniu z zastrzeżeniem ogłoszenia dopiero w kilkadziesiąt lat po swej śmierci. Tego niestety uczynić nie mogę. Raz dlatego, że czas nagli – książka tego rodzaju potrzebniejszą jest dziś niż jutro, jeśli chodzi o względy praktyczne. Żyjemy nie tylko w dobie zmierzchu szlachty ziemskiej, która zresztą już dawno – jak twierdzą niektórzy historycy – rolę swą

dziejową przegrała, ale również zmierzchu polskiej inteligencji w ogóle. Co będzie z naszą Ojczyzną, gdyby warstwa prawdziwej inteligencji zginąć miała? Czy się ona odrodzi? W każdym razie kto tylko może, winien przyłożyć rękę w tym kierunku, choćby ta ręka z konieczności twardą być musiała. A po wtóre, skoro zawsze zarzucałem rodakom moim brak odwagi cywilnej – przy wielkiej odwadze wojskowej – to nie mogę sam być tchórzem!

Tak, narażam się. Nawet na to, że najbliżsi ongiś moi przyjaciele, przejrawszy się w tym Zwierciadle, rzucą na mnie kamieniem. Ale w moim wieku i położeniu, w jakim się znalazłem po tylu doznanych zawodach, przemęczony - wyznaję to ze wstydem – wciąż bezowocną pracą dla kraju, nie mam już nic do stracenia. Już mnie więc „gniewy ludzkie nie trwożą”. A zresztą, skoro zacząłem tu cytować [Adama] Mickiewicza, to „szczęśliwy będę, żem legł wśród zawodu, jeżeli poległem ciałem dam innym drogę do sławy grodu”. Tym bardziej, że nie o zdobycie sławy tu chodzi, ale o przyczynienie się czymś, choćby drobną cegiełką, do ratowania polskiej inteligencji, dobrej tradycji, kultury. Bo nie tylko o to chodzi, aby odrodziła się Polska, ale i o to, jaką ma być ta Polska! [w oryginale ostatnie zdanie tego akapitu zostało odręcznie dopisane na lewym marginesie strony]. A choćby mnie nawet najgorsze spotkać miało, czerpię otuchę w tym, że to Zwierciadło moje, to przecież nie paszkwil w złośliwej napisany intencji, ale zbiór faktów, jak najobiektywniej kolejno notowanych faktów, które same mówią za siebie. Jeśli się więc komu nie spodoba jego sylwetka, która z tych faktów wyjdzie, to niechże zwróci się z pretensją sam do siebie i zada sobie pytanie: Dlaczego wówczas tak, a nie inaczej postąpiłem? Pewien jestem natomiast, że nieprawdy lub pomyłki rzeczowej nikt nie będzie w stanie mi zarzucić, bo o wątpliwych sprawach nie wspominam, a podaję tylko to, czemu nikt zaprzeczyć nie może. W położeniu, w jakim naród nasz się znajduje, eksponowanym na wszystkie strony, trawiony

wciąż niezgodą wewnętrzną, ktoś nareszcie musi się znaleźć, kto by temu narodowi prawdę w oczy powiedział. Nawet nie całemu narodowi, ale przynajmniej jego warstwie chełpiącej się wykształceniem. Po tylu ciężkich doświadczeniach, po tylu katastrofach, po tylu partyjno-politycznych zakłamaniach, niechże inteligencja polska choć raz jeden usłyszysz prawdę, niech ujrzy się, jaką jest w istocie, a nie zająka się uważa i podaje.

To dzisiaj konieczne. A ponieważ nikt godniejszy dotąd tego nie uczynił, więc nie waham się wziąć tego zadania na siebie.

Warszawa, 1 lipca 1944